

KRYTYKA NA UNIWERSYTECIE

Pod koniec roku 1905 Stanisław Brzozowski pisał na łamach „Głosu”:

(...) w obecnym czasie – przy zupełnym zaniku samoistnej krytyki syntetycznej, przy straszliwym obniżeniu ideowym w świadomości ogółu kulturalnego dotyczącej twórczości i sztuki – filologia święci prawdziwie jedyny w swym rodzaju sabat. Ukazywanie się na powierzchni literackiej dziwotworów w rodzaju p. St. Zdziarskiego, H. Gallego itp., świadczy o głębokiej nienormalności stosunków zachodzących w danej dziedzinie umysłowego życia. Przypomnieć więc trzeba, że filologa miejscem są sutereny adnotacji wydań krytycznych, zmudne, lecz wielkiej sumienności i przenikliwości nieraz wymagające prace rewizji tekstu, lecz że historia literatury, o ile w ogóle ma ona mieć znaczenie dodatnie, krytyka jest dziedziną umysłów kulturalnie twórczych (...)¹.

Wbrew pozorom, ten przydługi cytat wcale nie powinien sugerować, że znajduję satysfakcję w przypominaniu niegdysiejszych waśni. Chciałem jedynie podkreślić, że spór domowy krytyków z badaczami literatury posiada całkiem już długą metryczkę, aczkolwiek nie jest równie starodawny, co zwada, jaka – chyba na zawsze – poróżniła krytyków i pisarzy. Zgodzę się również, że nie doczekał się on jakichś szczególnie pamiętnych epickich przedstawień. Ale już namiętności potrafił budzić całkiem spore. Cóż, siłą rzeczy zajmujący nas spór mógł zaistnieć dopiero wraz z wyodrębnieniem się oraz instytucjonalizacją historii literatury jako osobnej dziedziny nauk humanistycznych. Gdy jednak wszystko to już się było dokonało, sprawy potoczyły się dalej wartkim rytmem, co zresztą przywołany artykuł Brzozowskiego dobrze pokazuje.

Z punktu widzenia krytyki akademicka refleksja nad literaturą zdaje się obciążona pierwotnym grzechem nawet nie instytucjonalizacji, ale wręcz – etatyzacji. Z jakąż niechęcią pisał Brzozowski o perspektywie *u z a w o d o w i e n i a* krytyki! Wizja kry-

¹ S. Brzozowski: *Małżonek Tytanii. Juliusz Słowacki i jego krytyk Tretiak*. W: tegoż: *Wczesne prace krytyczne*. Wstęp A. Mencwel. Warszawa 1988, s. 524. Paginacja kolejnych przytoczeń z tej pozycji w tekście głównym.

tyka na etacie budziła w nim pasję już nie polemisty, lecz szyderycy. Czego by brakowało takiemu „profesjonaliście”? Namiętności? Zapewne tak, choć nie tylko. Otóż krytyk-zawodowiec wykazywałby skłonność do niezwykle płytkiego pojmowania autonomii literatury oraz dyskursu, który jej towarzyszy. W jego ujęciu autonomia byłaby sprowadzana do specjalizacji; troska o osobność i czystość dyscypliny dyktowałaby konieczność nie tylko samego wydzielenia literatury i literaturoznawstwa, bo również stróżowania tego, co je odgranicza od innych sfer działalności kulturotwórczej. Określając własną rolę w kategoriach sobieswojskich, literaturoznawca wyrzekłby się ambicji innych niż ściśle literaturoznawcze. Musiałby sobie zatem odmówić prawa do refleksji filozoficznej, społecznej, kulturoznawczej, antropologicznej, politycznej, a jeśli nawet wkraczałby na wszystkie te poletka (bo przecież zdarza mu się wkraczać!), to w trybie niezobowiązującej dygresji, ekskursji, wypowiedzi czynionej na stronie, zapisków na marginesie. Choćby nawet literaturoznawca był filozofem (socjologiem, kulturoznawcą itd.) i choćby nawet z takiego splecenia ról wynikała rzeczywista wartość jego pracy, to przecież tak naprawdę nie ona (wartość) legitymizowałaby tę pracę, lecz zgodność ze standardami dyscypliny. Tymczasem „krytyk, który byłby tylko krytykiem, byłby bezwzględny zaprzeczeniem twórczości (...) krytyk jest o tyle interesujący, o tyle ma znaczenie, o ile jest kimś poza krytyką i ta jego pozakrytyczna reszta rozstrzyga o wadze, doniosłości i charakterze jego działalności krytycznej” (s. 509-510). Refleksja krytyczna jest eksterytorialna oraz ekscentryczna w tym przynajmniej sensie, że jej najistotniejsze znaczenie (to, co rozstrzyga o jej wadze i doniosłości) mieści się poza nią samą. Brzozowskiemu chodziło o to, że wszelka krytyka powinna być przekroczeniem („przewycięzeniem”) swojego przedmiotu. Specyfiką zatem aktu krytycznego byłaby pewna nadwyżka odniesienia, związana z tym, że mówiąc o przedmiocie krytyki (dziele, literaturze itd.), mówimy zarazem o czymś (kimś) innym, problematyzując tę podwójność i podejmując tropy, które ją (podwójność) poświadczają. Dlatego też krytyka z konieczności musiała się okazać filozofią literatury, która wyrosła z pytania o to, jak w ogóle literatura jest możliwa²?

Zdumienie samym istnieniem, ba! zdumienie samą możliwością istnienia to

² Filozofia zaś literatury w nieuchronny sposób prowadzi nas w stronę filozofii języka, w ramach której pytamy, jak to właściwie się dzieje, że język może wyrazić cokolwiek oprócz siebie samego.

postawa z gruntu obca filisterskiemu naturalizmowi, wraz z jego kultem „faktów, które mówią same za siebie”. Zgodnie z tym ostatnim stanowiskiem „oczywisty” fakt istnienia nie podlega wartościowaniu, podlega natomiast powtarzalnym, „obiektywnym” prawidłom i regułom. W tym właśnie miejscu – wedle Brzozowskiego – otwiera się najistotniejsze pole konfliktu pomiędzy krytyką oraz akademickim literaturoznawstwem. To ostatnie bowiem płaci bardzo wysoką cenę za etatyzację i związane z tym przywileje, będąc zobowiązane do „uwznioślenia” filisterskiego poglądu na świat. Od czasów Brzozowskiego minął wiek, wszelako – ośmielę się zauważyć – w tym punkcie niewiele się zmieniło. Ponieważ akurat w naszym zakątku Europy zupełnie inaczej przepracowaliśmy wydarzenia 1968 roku i zupełnie też inne wyciągnęliśmy z nich wnioski, to „pruski” wzorzec akademii³ wciąż u nas przeważa. Na początku XXI wieku polski uniwersytet nadal definiuje rola „przetrwalnika” (konserwatorium) dla depozytu tradycji, a nie rozsądnika nowych, tym bardziej zaś – istotnie „wywrotowych” treści.

Postrzegając akademickie literaturoznawstwo jako instytucję czy też agendę działającą w ramach społeczeństwa mieszczańskiego, podporządkowaną jego ideologii oraz służącą dystrybucji wiedzy/władzy, Brzozowski był dłużnikiem Nietzschego, a ściślej rzecz ujmując – podjętej w *Niewczesnych rozważaniach* krytyki „przymierza między państwem a filozofią”. I jeśli nawet złożyć całą sprawę na karb okoliczności historycznych, to różnicę między naszą a niemiecką tradycją kulturową wyświeśla fakt, że podobną unię polskie społeczeństwo zawarło ongi nie z filozofią, lecz z filologią, ści-

³ W roku 1995 Krzysztof Kłosiński podczas studencko-pracowniczej konferencji literaturoznawczej mówił w związku z perspektywą przemian technologicznych: „(...) dotychczas moje słowo zachowywało prawo własności do słowa Dantego dlatego, że jestem upoważniony, że mam taki dyplom, bo mam taki tytuł i – że tak powiem – takich samych uprawnień nie posiada czytelnik. (...) To uzurpacja, obrzydliwa, wstrętna, której symbolem jest uniwersytet, instytucja, która w gruncie rzeczy jest wypaczeniem akademii, powiedziałbym, pruskim wypaczeniem idei akademii...” (*O multimedialności i uniwersytecie – dyskusja*. W zbiorze: *Po Dantem*. Wybór materiałów z VIII Konferencji Pracowników Naukowych i Studentów Instytutu Nauk o Literaturze Polskiej UŚ pod red. J. Olejniczaka. Katowice 1996, s. 57). Czy przemiany technologiczne rzeczywiście wyzwoliły lub wyzwolą literaturoznawców z roli funkcjonariuszy, można powątpiewać. Symptomatyczna wydaje mi się jednak sama tęsknota za takim wyzwoleniem.

ślej – historią literatury.

Cały ten złożony kompleks uwarunkowań sprawił, że akademickie literaturoznawstwo zwykło rozpatrywać „poetycki geniusz” jako wynik „kombinatoryki mierności”. Pisał Brzozowski: „Historia literatury przeobraża się w nudną i ckliwą opowieść o tym, jak się z jednych książek tworzą inne” (s. 508). Dziwnym trafem niektóre z tych książek zwyczajowo uznajemy za arcydzieła, jakkolwiek sam problem, dlaczego ilość (i kombinatoryczna potęga) przechodzi niekiedy w jakość (artystyczną i poznawczą), pozostaje tajemnicą skrywaną pod pulpitem katedry.

Rzecz jednak w tym, że nam, współczesnym – zupełnie inaczej niż Brzozowskiemu – podejrzane wydają się raczej kategorie „arcydzieła” i „geniuszu”, literatura zaś pojmowana jako gra kombinatoryczna stała się chlebem naszym powszednim. Czyżby takie były owoce „filologicznego regime'u” (s. 522)? Co więcej – tu zresztą zmiana zaszła chyba największa – przy świadomości wszystkich obciążeń, z jakimi wiąże się rola zawodowego filologa, współcześnie i tak wydawać się może ona pożądanym dobrem, uniwersytet zaś – azylem, w którym chroni się krytyk znękanym konkurencją na wolnym rynku postaw i idei. Nie o potrzebę stabilizacji tu chodzi, lecz o społeczne i ekonomiczne zabezpieczenie dla (owszem, zawsze względnej) niezależności sądów.

Istnieją inne jeszcze powody, dla których krytyka skazana jest dzisiaj na bliższe związki z akademią. Literaturoznawstwo – nierównie silniejsze instytucjonalnie – narzuca poprawnościowe standardy. Wypowiedź krytyczna nie może pozostawać obojętna na te wymagania, jest zobowiązana do wylegitymowania się najpierw przed trybunałem poprawności metodologicznej. Czy nie jest wymowne, że nawet Karol Malszewski oraz Kinga Dunin musieli, koniec końców, zgłosić się do cechu, by uzyskać stosowny dyplom? O ile zatem literaturoznawca – w porządku przynajmniej instytucjonalnym – kontroluje krytyka, o tyle sytuacja odwrotna, jeżeli w ogóle zachodzi, posiada znaczenie wyłącznie symboliczno-towarzyskie. Jeśli krytyk pisze o książce badacza, to albo sam w badacza się zmienia, albo też, występując w prasie literackiej, pisze recenzję, która nie ma większego znaczenia dla pozycji i dalszej kariery badacza. Dysproporcja jest tutaj uderzająca.

Aczkolwiek wizja krytyka na uniwersyteckim etacie przeraziłaby Brzozowskiego, to sędzę, że mimo wszystko Paryż wart jest mszy. Nie ma powodu, by demonizować

zagrożenia, które wynikają z instytucjonalizacji – bo choć zachęca ona do oportuniźmu, to jednak go nie determinuje. Tylko czyniąc poważne zastrzeżenia, mógłbym przytaknąć publiczście „Witryny Czasopism”, który tak pisał w związku z uczoną debatą na temat neolingwizmu w jednym z młodoliterackich (ale przyakademickich) czasopism:

Znakiem firmowym akademizmu nie jest ani specjalistyczna, hermetyczna nomenklatura, ani tak naprawdę korzystanie z pewnej (gotowej) wiedzy, która w pantekstualnej przestrzeni wydaje się nie do pominięcia. Jest nim za to na pewno traktowanie tej wiedzy jako najważniejszego rejestru oraz nie weryfikacyjny, lecz serwilistyczny do niej stosunek, sprawiający, że po krytycyzmie krytyce zostaje jeno nazwa⁴.

Otóż jeśli nawet tak właśnie najczęściej się dzieje, to nie wynika stąd, że tylko tak dziać się musi. Innymi słowy: jeśli uniwersytet wyjął krytykę, to zawsze odbywa się to za przyzwoleniem krytyki. Jak czytaliśmy, Brzozowski policzył ostatecznie i krytykę, i historię literatury między „dziedziny umysłów kulturalnie twórczych”. Że akademizm nie wyklucza twórczości – o tym przekonywał nie będę ani autora „Witryny Czasopism”, ani Włodzimierza Boleckiego⁵, bo nie ma potrzeby udowadniać (zwłaszcza Włodzimierzowi Boleckiemu), że taki *Poetycki model prozy w dwudziestoleciu międzywojennym* należy do przedsięwzięć „kulturalnie twórczych”.

Konflikt między krytyką a literaturoznawstwem nie polega więc na tym, że wzloty tej pierwszej temperują i powściągają z zasady kostyczne umysły i wyjąłowane dusze „badaczy”. Nawet instytucjonalne okowy akademii same przez się nie wymuszają jeszcze, by krytyka porzuciła swoją misję. Do tego wszystkiego problem sprowadza się jedynie w publicystycznej satyrze. Dużo poważniejszych zagrożeń upatrywałbym choćby w tendencji do wzajemnego unieważniania się krytyki i literaturoznawstwa. Podtrzymuję to, o czym przy innej okazji pisałem wspólnie z Nowackim: z punktu widzenia akademii krytyka literacka dokonuje się w polu nieistotności, a choć może

⁴ M. Kasprzak: *Rozdarte „Pro Arte”*. „Witryna Czasopism” 2006, nr 6 <witryna.czasopism.pl>.

⁵ Zob. W. Bolecki: *Krytykę zabiły uniwersytety*. „Dziennik” z dn. 25 października 2006 (nr 160). Tę publicystyczną szarżę cenionego literaturoznawcy przywołuje i wspiera się nią w swoim ataku na „akademizm” Kasprzak.

dobrze służyć popularności oraz osobistej karierze badacza, to jednak dla instytucji oznacza ogromne marnotrawstwo czasu i energii, które można by zużyć raczej na pomnażanie liczby „punktowanych” publikacji w dorobku, pokonywanie kolejnych szczebli zawodowego awansu itd. Natomiast z punktu widzenia krytyka uniwersytet (jako miejsce pracy) zapewnia mu bezpieczeństwo socjalne za cenę niewielkich w sumie zobowiązań – kilku godzin tygodniowo, poświęconych na dydaktykę, oraz napisania dwu czy też trzech (nikomu niepotrzebnych) książek „awansowych”. Tyle tylko, że instytucjonalna podległość budzi resentment. Za jego sprawą krytyk postępuje dokładnie tak jak pisarz względem krytyka – zajęciom literaturoznawcy, akademika, „badacza” odmawia twórczego charakteru, uznając nawet swoje własne prace za „nikomu niepotrzebne”, pozbawione istotnej wartości, za trybut płacony instytucji. Owszem, za cenę takiego trybutu krytyk zdobywa prawo do zajmowania się... krytyką. Transakcja jest w sumie opłacalna, bo w odróżnieniu od chłopów pańszczyźnianych czasu wolnego otrzymujemy pod dostatkiem, w wolnym zaś czasie – hulaj dusza! przemieniamy się w krytycznoliterackich wolontariuszy. Wszelako niebezpieczeństwo widać już gołym okiem: krytyk na etacie literaturoznawcy pozostaje rozdarty między oficjalną rolę „badacza” i nauczyciela (którą lekceważy) oraz istotną dla niego funkcją krytyka, która wszakże przyjmuje charakter wyłącznie osobistej i „prywatnej” opcji. Niebezpieczeństwo polega na trudnościach z pogodzeniem „publicznego” i „prywatnego” wymiaru swojej aktywności. Wszystko to sprzyja wypieraniu krytyki ze sfery publicznej, spychaniu i zamykaniu jej w getcie prywatności. Jedni pielęgnują grządki, niektórzy lubią poezję, a jeszcze inni po godzinach pisują recenzje i szkice krytyczne. W ten sposób społeczna kondycja krytyki nabiera własności nieszkodliwego dziwactwa, działalności hobbystyczno-rekreacyjnej, w najlepszym razie sprowadza się do gimnastyki umysłowej. I dość!

Przed kilku lat Maciej Urbanowski sugerował, że współczesna krytyka przeddefiniowała swoją rolę, co w praktyce oznaczało minimalizację własnych zadań⁶. Ślady takiej minimalizacji Urbanowski dostrzegał między innymi w wyborach czy raczej rozstrzygnięciach genologicznych, w skłonności do opatrywania tomów kry-

⁶ M. Urbanowski: *Uwagi o krytyce literackiej lat 90*. W zbiorze: *Literatura polska 1990-2000*. Pod red. T. Cieślaka i K. Pietrych. Kraków 2002, t. 2, s. 37-45.

tycznoliterackich (najczęściej w podtytułach) słowami „notatki” czy „zapiski”⁷. Wydaje mi się jednak, że badacz tylko po części wytłumaczył sens takiej operacji. Z całą pewnością ważna była tutaj tradycja personalizmu krytycznoliterackiego. Słowo „notatka” – co przekonująco pokazał Urbanowski – podkreślało również sytuacyjny, prowizoryczny i doraźny status wypowiedzi krytycznej. Sytuowało ją nadto w przestrzeni autoprezentacji, po stronie zarazem autobiografii krytyka, jak i refleksji metakrytycznej, czy ściślej rzecz ujmując – takiej, która chce odsłonić genealogię aktu krytycznego. Jednocześnie ów akt, jako prowizoryczny, zawsze pozostawałby niedopełniony i niezwieńczony, byłby odraczany na rzecz kolejnych prowizoriów i prób, rzutów i przymiarek. Tak pojęta „krytyka minimalistyczna” byłaby więc swego rodzaju „krytycznym brudnopisem”, „szkicownikiem” czy „brulionem”, ekwiwalentem „prozy na brudno”, „sylwizmu”, „nowej prywatności”. Odpowiadałaby zatem świadomości literackiej, która poczęła się kształtować jeszcze w latach sześćdziesiątych i która dominowała do końca dziewiętej dekady. Ale choć oddziaływała także później, to w latach dziewięćdziesiątych znalazła się już na fali schodzącej. Czyżby więc nadużywanie słowa „notatka” w ostatniej dekadzie XX wieku było świadectwem epigoństwa krytyki? Zastanawia wszakże, iż po słowo „notatka” sięgali krytycy tak różni, jak Stala, Nowacki czy Maliszewski. Czyżby ich wszystkich określała i definiowała tradycja Jana Błońskiego, Jerzego Kwiatkowskiego, Andrzeja Kijowskiego? Otóż nie – określenia „notatka” czy też „zapiski” nie zawsze miały sens ściśle genologiczny i niekoniecznie sugerowały upodobnienie wypowiedzi krytycznej do dziennika, notatnika, szkicownika czy felietonu, nie zawsze pociągały za sobą rezygnację z „myśli syntetyzującej” i nie oznaczały „zluzowania” perspektywy historycznej przez metafizyczną. Użycie słowa „notatka” mogło wynikać nie tylko z promieniowania tradycji personalizmu krytycznego. Bywało również podyktowane zupełnie inną interpretacją kryzysu władzy sądenia.

Nie ma innej krytyki niż ta, która rozgrywa się na agorze. Personalizm nie był tu żadnym wyjątkiem. Jeśli postulował on i praktykował „udomowienie” relacji komunikacyjnych, jeśli adorował jednostkowość i niepowtarzalność każdego „romansu z tek-

⁷ Sam również wniosłem tutaj swój „wkład”, umieszczając w podtytule książki z 1998 słowa „zapiski krytyczne”.

stem” – wszystko to posiadało przejrzysty sens społeczny. Było przeciwwagą dla monopolu komunikacyjnego ośrodków władzy, miało również być lekcją osobistej niezależności i godności. Kulturowanie osobności oznaczało sprzeciw wobec tendencji unifikujących. Sytuacja po roku 1989 wygląda wszakże zupełnie inaczej. Naszym problemem nie jest już bezwzględny prymat monolitycznego dyskursu władzy, lecz postępujący rozkład sfery publicznej (nie mam tu na myśli rozpadu jakiejś wspólnoty!), któremu towarzyszy i który wspomaga ideologiczny dogmat o równości wszelkich wyborów oraz aktów wartościujących.

Każdy czyta, co chce i jak chce. I nie ma znaczenia, że realia komunikacji publicznej raz po raz zaprzeczają tej regule. Wszak działając na rzecz upodmiotowienia kolejnej „wspólnoty interpretacyjnej”, otwierając nowe możliwości i zarysowując nowe perspektywy rozumienia tekstu, wypróbowując nowe języki i nowe dyskursy – czyniąc to wszystko jedynie potwierdzamy obowiązujące reguły gry. W ten sposób zaciera się różnica między afirmacją i kontestacją zastanego stanu rzeczy, różnica między – powiedzielibyśmy – postawą akademika i postawą krytyka. Obie okazują się równoważne i wymienne.

Można byłoby powiedzieć, że w tej sytuacji akademicka dyscyplina oraz związane z nią wymogi poprawności metodologicznej są jakąś namiastką reguł rozstrzygających o prawomocności interpretacji. Nie łudziłbym się jednak – to tylko protezy. Wzdychanie za krytykami z tamtych lat, za utraconymi bóstwami: geniuszem, arcydziełem i kanonem niewiele tu pomoże. Wyklinanie „literaturki” – jeszcze mniej. Pozostaje jednak wciąż do naszej dyspozycji potencjał, który tkwił w krytycznych dyskursach nowoczesności.

Jeżeli Jürgen Habermas miał rację, przedstawiając modernizm jako „niedokończony projekt”, to w tym sensie, że „niedokończenie” jest konstytutywną cechą nowoczesności. Oznacza to zaś, że sąd krytyczny musi przekraczać horyzont aktualności, bo choć odnosi się on do tego, co faktycznie jest, to wywodzi się i czerpie swoją prawomocność z tego, co pozostaje w sferze możliwości. Pisał Brzozowski: „Krytyk jest to zdolność poznawania rzeczy, które dopiero mają być stworzone, jest to poznanie uprzedzające potencjalnością swą rzeczywistość i tęskniące za nią” (s. 510).

W takiej perspektywie współczesny kryzys władzy sądenia w pierwszej kolejności

więzałyby się z utratą wiary w to, że jest jeszcze jakieś „jutro”, które powinno być różne od „dzisiaj”. Więzałyby się nadto z utratą rzeczywistości pojmowanej jako przezwy-
 cieżanie faktyczności, jako przejście od tego, co jest, do tego, co „dopiero ma być
 stworzone”. Złożona z nieskończonej (potencjalnie) liczby punktów sieć znosi dialek-
 tykę projektu i realizacji, wytworu i procesu. Zastępuje ją chaotyczny (to znaczy: nie-
 zorganizowany celowo) obieg informacji. Tracąc możliwość odwołania się nawet do
 tej instancji, w imię której występował (pragnął występować) krytyk nowoczesny, a
 mianowicie – określonej wizji przemiany świata, stajemy przed perspektywą takiej
 krytyki, która zdaje się dzielić los geniusza, arcydzieła oraz kanonu, a więc krytyki
 niemożliwej, krytyki poza sądem wartościującym. Stąd powściągliwość.

Nie wierząc w gruntowną przemianę świata czy bodaj naprawę literatury, nie znaj-
 duję wszakże powodów ani podstaw do zamilknięcia krytyki. Wręcz przeciwnie,
 świadomość, że nie zajmuję pozycji arbitra, że moje prawo do wydawania werdyktów
 i orzeczeń jest co najmniej wielce problematyczne – wszystko to zdaje mi się wyzwala-
 jące. Zyskuję, po pierwsze, większą swobodę manewru. Po wtóre, skoro nie jestem
 zobligowany do podporządkowania się żadnemu kodeksowi ani nawet do wypraco-
 wywania własnego kodeksu, to w konsekwencji walor autonomii przysługuje każdemu
 z moich rozstrzygnięć (powiedzmy, mikrorozstrzygnięć) tekstowych i krytycznych –
 bez względu na to (ale za to w związku z tym), że są one prowizoryczne, sytu-
 acyjne, dynamiczne (*in progress*) oraz „niezwieńczone”, pozbawione mocy egzeku-
 cyjnej, a ponadto są uwikłane w logikę samoprzekroczenia. Mówiąc krótko, im mniej
 władzy sądenia, tym większa autonomizacja i heteronomiczność owych „mikrosą-
 dów”. Autonomia i heteronomia posiadają też czytelny aspekt etyczny i polityczny.
 Zadaniem krytyki okazuje się dyspersja tekstu oraz sensu, „rozszczepienie” sieci tak,
 by wydobyć jej heterogeniczność. Jeśli Brzozowski żądał od krytyki „przewycięża-
 nia” swojego przedmiotu, to przecież potrzeba taka nic nie straciła na aktualności.
 Rzecz jednak w tym, że zadanie „przewyciężania” przez krytykę odnosi się w pierw-
 szej kolejności do samej krytyki, która zawsze musi dążyć do rozbioru przesłanek wła-
 snego rozumowania. W tym sensie wskazane wydaje się nie tylko podtrzymanie, ale
 nawet maksymalizacja nowoczesnego krytycyzmu. Tyle, że w naszym wypadku
 ruch „przewyciężania” nie oznacza wychylenia ku temu, co przychodzi z przyszłości,

lecz działanie tego, co Johnson nazwała „różnicą krytyczną”, „różnicą wewnętrzną”, różnicą „od samego siebie”⁸.

Z tradycyjnego punktu widzenia odrębność krytyki oraz nauki wykląda się jednoznacznie: krytyka wartościuje, podczas gdy nauka oraz wiedza preferują „czysty” opis. I jakkolwiek złożona jawiłaby się nam relacja między krytyką a literaturoznawstwem, sam rozdział wciąż pozostaje w mocy. Antagonizm nie oznacza jednak wzajemnej obojętności ani wykluczenia. Jest oczywiste, że sądy wartościujące oraz opisowe stwierdzenia zawsze się warunkują. Krytyka zaś współczesna, krytyka poza władzą sądenia może z punktu widzenia akademii okazać się tym bardziej intrygującym partnerem. Nie trzeba nikomu dowodzić, że akademicka wiedza o literaturze posiada już tę świadomość, iż zdania opisowe nigdy nie są neutralne, iż kategorie poznawcze współtworzą przedmiot opisu, iż prawomocność wszelkich twierdzeń ogranicza się do *ēpisteme*, która te twierdzenia umożliwia. „Postmodernistyczna kondycja” oznacza, że refleksja akademicka, podobnie jak krytyka, nie może zbyć problemów, które dyktuje świadomość związana z ograniczeniami oraz samoo graniczeniami zasadności tejże refleksji. Ostatecznie pisarz, krytyk i badacz literatury spotykali by się w tym samym „świecie literackości”, rozumianym jako otwarta (nieentropijna), samoorganizująca i samotworząca się w sposób niecelowy „sieć”⁹.

Jaka rola przypadłaby tutaj krytyce? Otóż jej szczególnej trosce powierzona byłaby kwestia prawidłowej dyfuzji literatury z innymi systemami organizacji społecznej,

⁸ B. Johnson: *Różnica krytyczna*. Przeł. M. Adamczyk. W zbiorze: *Dekonstrukcja w badaniach literackich*. Pod red. R. Nycza. Gdańsk 2000. *Nb.* zdaniem Johnson literatura stanowi pełniejszą manifestację „różnicy krytycznej” od krytyki, albowiem „tekst literacki przekazuje różnicę wewnętrzną, którą »zna«, ale której nie może wypowiedzieć, natomiast tekst krytyczny, usiłując wypowiedzieć, redukuje ją do tożsamości” (tamże, s. 277-278). Otóż sądzę, że tekst krytyczny nie musi wcale dążyć do wyrażenia czy skodyfikowania różnicy. Może ją również przejąć, przeszczepić na własny grunt tak, aby siła dyspersji tej różnicy została zachowana, a nawet wzmocniona w ramach wypowiedzi krytycznej.

⁹ Por. K. Bartoszyński: *Od wiedzy o literaturze do „świata literackości”*. W: tegoż: *Powieść w świecie literackości. Szkice*. Warszawa 1991, s. 266-270. Wprowadzając metaforę „świata literackości”, Bartoszyński inspirował się przede wszystkim pojęciem „systemu” w konstruktywistycznym rozumieniu Siegfrieda J. Schmidta.

tak, aby w ten sposób zagwarantować stosowną otwartość naszego układu i osmotyczny charakter całego zbioru wyższego rzędu. To prawda, że krytyka nie działa na uniwersytecie, lecz funkcjonuje tylko na agorze. Trzeba to jednak dobrze rozumieć. Rola krytyki nie sprowadza się bynajmniej do tego, by stanowić kanał komunikacyjny, być swoistym pasem transmisyjnym pomiędzy, na przykład, uniwersytem a rynkiem. Nie chodzi też o samą tylko (miejmy nadzieję, że dobrą) obecność w mediach czy też pracę na umowę-zlecenie dla Agory S.A. Otóż zadanie „bycia na agorze” wyklada się jako zobowiązanie do tworzenia, transformowania i przemieszczania agory. Co oczywiste, mam na myśli działalność przeciwstawiającą się wszelkim tendencjom do upodobnienia, a tym bardziej – poddania się obowiązującym regułom komunikacji publicznej. Nie wystarcza przy tym próba samego ich (krytycznego) opisu. Chodzi o to, aby reguły te zmienić, wskazując choćby na inne punkty odniesienia. Uczynić uniwersytet agorą z prawdziwego zdarzenia – po to krytyka pojawia się w murach akademii.

Krzysztof Uniłowski

INFORMACJA BIBLIOGRAFICZNA: Niniejszy tekst pochodzi z książki Krzysztof Uniłowski pt. *Kup pan książkę! Szkice i recenzje* (Wydawnictwo „FA-art”. Katowice 2008).